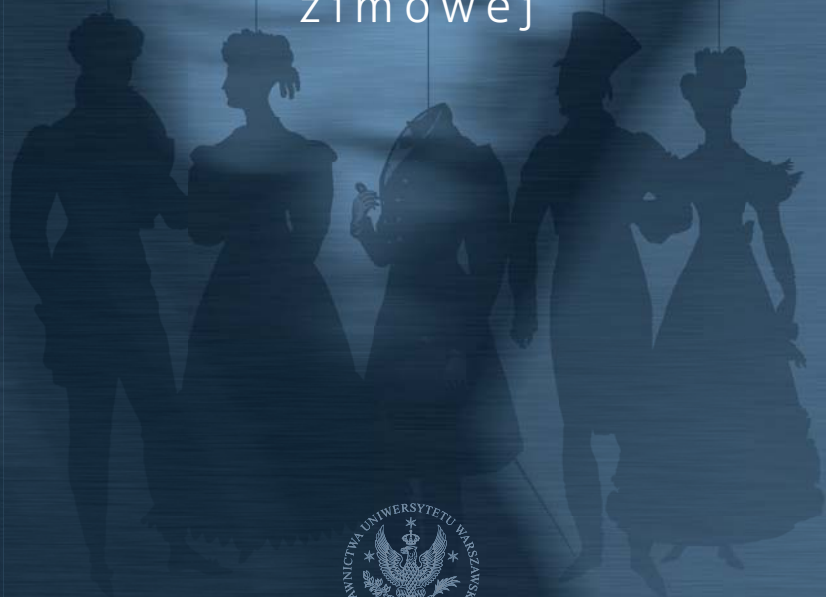


Tadeusz Cegielski

GŁOWA

Opowieść
nocy
zimowej



GŁOWA

Opowieść nocy zimowej

Tadeusz Cegielski

GŁOWA

Opowieść nocy zimowej



Redaktorzy prowadzący
Anna Kędziorek
Beata Jankowiak-Konik

Redakcja
Anna Czerepaniak

Korekta
Elwira Wyszynska

Projekt okładki i stron tytułowych
Krzysztof Stefaniuk

Ilustracja na okładce
Pałac Kazimierzowski, litografia J.F. Piwarskiego, 1824,
Muzeum Narodowe w Warszawie

Zdjęcie autora na skrzydełku
fot. Max Cegielski

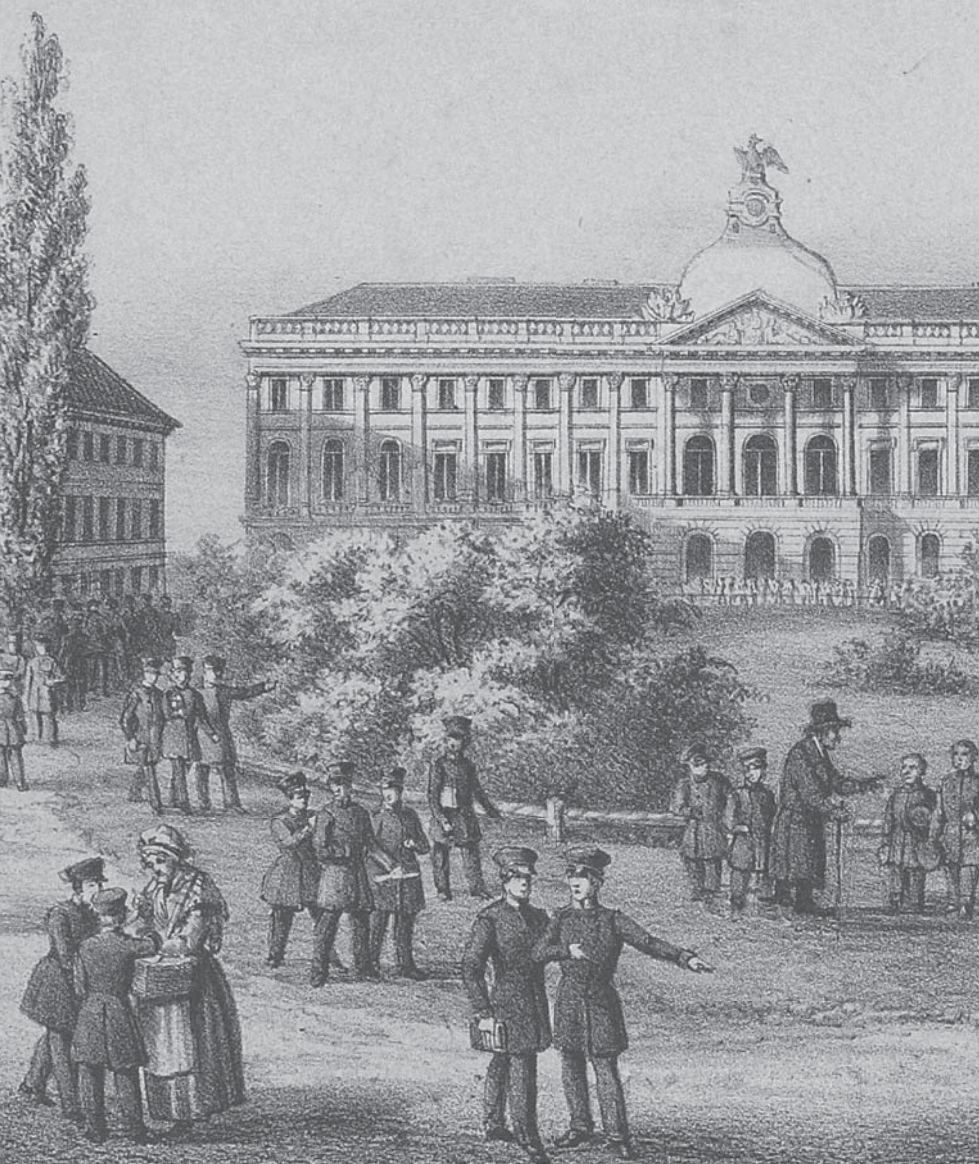
Skład i łamanie
Akces, Warszawa

ISBN 978-83-235-2386-4

© Copyright by Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2016

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego
00-497 Warszawa, ul. Nowy Świat 4
e-mail: wuw@uw.edu.pl
Księgarnia internetowa: www.wuw.pl

Wydanie I, Warszawa 2016



Prolog wiosną i latem 2015 roku

ROZMAWIALI CHWILĘ, ZATRZYMAWSZY SIĘ NA DZIEDZIŃCU, W SERCU GŁÓWNEGO KAMPUSU UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO. Przerwa w zajęciach i majowe słońce sprawiły, że niewielką przestrzeń pomiędzy gmachem pomuzealnym a jego nową oficyną oraz budynkiem kulturoznawstwa wypełnił tłum młodzieży. Uwagę przyciągały hipsterskie ubiory niektórych studentów, pomnych zasady, iż modne jest tylko to, co nikomu nie przyszło jeszcze do głowy, że może być modne. Mijający ich kłaniali się: bądź to Ambroziakowi, bądź to Pasterzowi, choć najczęściej obu profesorom naraz. Wojciech Ambroziak, dyrektor muzeum uniwersyteckiego, spojrzał surowo na Jana Pasterza i powiedział:

– To wielka, niepowtarzalna szansa! Pamiętaj, Janie, pracę naukową weźmie do ręki trzystu, a trzydziestu ją przeczyta. Powieść kryminalną pochłoną zaś tysiące. I coś na pewno z tej lektury wyniosą, coś zapamiętają!

– Przeceniasz możliwości autora kryminału – opowiadał ten drugi. – Sensacyjna fabuła, jeśli ma być dobrze skonstruowana, nie uniesie zbyt rozległej wiedzy historycznej... Na rynku wydawniczym mamy zalew powieści, których autorzy chcieli popisać się znajomością takiej czy innej historii: lokalnej i ogólnokrajowej, dalszej i bliższej.

Rezultat? Czyta się to jak podręczniki, przewodniki po historycznych miejscach, nie jak kryminały. Ja sam zresztą też nie jestem bez winy...

– A jednak sporo tej wiedzy uniesie! – obstawał przy swoim Ambroziak. Przyzwyczał się już do myśli, że Pasterz wypełni powierzone mu jeszcze poprzedniego roku zadanie i napisze powieść kryminalną, której fabuła rozegra się w realiach historycznych uniwersytetu. A ten właśnie zbliżał się do dwusetnych urodzin.

– Bez względu na to, który z nas ma więcej racji, powieść powstanie – uspokajał Pasterz. – Nie ma już odwrotu.

– I bardzo dobrze! A jeśli nadal chciałbyś, aby rzecz dotyczyła pierwszych lat istnienia uniwersytetu, to będę miał coś dla ciebie! Coś naprawdę niezwykłego! Zajrzyj do mnie jutro do muzeum – rzucił Ambroziak na pożegnanie, spiesząc do swych obowiązków.

Pasterz zgarbiony, z pochyloną głową, ruszył w stronę gmachu, który od trzydziestych lat minionego stulecia służył Instytutowi Historycznemu. Potem, czekając na windę, pomyślał, że problem z powieścią polega nie na braku, lecz nadmiarze historycznych kontekstów. Przestrzeń wokół wypełniały tysiące znaczeń, wspomnień po wydarzeniach zarówno wielkich, jak i błahych, na równi niezwykłych i banalnych, zapewne także takich, które nadawałyby się na materiał dla kryminalnej fabuły. Doświadczał czegoś, co nazywał kiedyś – pół żartem, pół serio – ikonologizacją miejsca. Po raz pierwszy zdarzyło mu się to w Syrakuzach, wiele lat temu. Stojąc na koronie greckiego amfiteatru, ujrzał w oddali sylwetkę normańskiego zamczyska; następnie stwierdził, że barokowa fasada katedry skrywa potężne doryckie kolum-

ny świątyni Ateny. Potem, w innych już okolicznościach, zrozumiał, że trzy i pół tysiąca lat historii nie jest wcale warunkiem, aby odczuć owo odkładanie się czasu. Może ono pojawić się także w całkiem zwyczajnym miejscu, takim jak Radom czy Zbąszynek. Szczególnie w tej drugiej miejscowości, która znajdowała się ongiś na granicy Rzeczypospolitej i Rzeszy Niemieckiej...

Poczuł na sobie uważny wzrok stojącej w pobliżu studentki. Wyprostował się natychmiast, dowodząc samemu sobie, że zgarbiona sylwetka stanowi stan chwilowy, w pełni kontrolowany.

o

Zastanie Wojciecha Ambroziaka w jego gabinecie w pałacu Tyszkiewiczów-Potockich graniczyło z cudem, który także i tym razem się nie wydarzył. Na miejscu czekał jednak jego następca, doktor Adam Hubert.

– Dyrektor prosił, aby zapoznał się pan z materiałami, a potem koniecznie z nim skontaktował. Jest niezmiernie ciekaw pańskiej opinii.

– Jakimi materiałami? – zapytał Jan. – Kiedy rozmawialiśmy wczoraj, profesor Ambroziak nie tylko spieszył się, ale i był, jak zawsze, bardzo tajemniczy. Wyrażał się raczej enigmatycznie...

Adam Hubert pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Chodzi o dar dla naszego muzeum. Bezcenny w sytuacji, kiedy tyle zabytków zostało zniszczonych...

– Ach, tak! Sprawa kryminalna z 1821 roku! – domyślił się wreszcie Pasterz. – Dyrektor wspomniał kiedyś o zbiorze dokumentów medycznych z czasów pierwszego,

królewskiego uniwersytetu. Dotyczących pewnego zabójstwa, a ofiarowanych niedawno muzeum przez potomków profesora Jana Milego.

– Nie tylko jednak dokumentów! Także dowodów rzeczowych. Zapoznaliśmy się, choć tylko pobieżnie, zarówno z korespondencją, jak i zachowanymi deliktami. Rzecz wygląda interesująco: mamy wyniki autopsji ofiary, omówienie hipotez na temat okoliczności i narzędzia zbrodni, próby typowania sprawcy. Wreszcie trochę spraw prywatnych, równie dziś tajemniczych jak owe materie policyjne czy też medycznosądowe.

– Obawiam się, że brakuje mi kompetencji w dziedzinie medycyny sądowej... Zresztą jakiegokolwiek medycyny...

Doktor Hubert machnął ręką.

– To medycyna sądowa z początku dziewiętnastego wieku! Bardziej postulat niż rzeczywistość. Dziesięć wykluczających się wzajemnie teorii. Ciężko się w tym rozeznąć, z drugiej jednak strony każdy znajdzie tu coś ciekawego dla siebie.

– A jednak!

Ciekawość wzięła przecież górę nad zawodową ostrożnością. Poza wszystkim, wyglądało na to, że Ambroziak podsuwa mu gotowy temat na powieść. Jeśli tak, to wszystko będzie zależało od tego, czy okaże się on inspirujący, czy uda się zbudować wokół niego kryminalną intrygę. Zresztą nie ma złych tematów, są tylko kiepscy autorzy. A więc do dzieła!

W pałacu Tyszkiewiczów-Potockich muzeum uniwersyteckie zajmowało sale przedwojennej akademii literatury. Od dłuższego jednak czasu historyczne wnętrza były

w remoncie, toteż korzystający ze zbiorów musieli zadowolić się paczkami i kartonami złożonymi w magazynie tuż obok pomieszczenia biurowego. Pracujące tu młode panie pomogły Pasterzowi znaleźć i wydobyć spory karton oznaczony kryptonimem „Czaszka” oraz numerami inwentarzowymi 1051-1052-2015 – i ulokować się z nim przy prowizorycznym stole pod oknem.

Zawartość kartonu mogłaby zainteresować każdego badacza, a coś dopiero kogoś szukającego śladu dramatycznych wydarzeń sprzed bez mała dwustu lat. Zwracała uwagę zawinięta w fizelinę czaszka ludzka, dobrze zachowana, a zważywszy umieszczone na niej numery inwentarzowe, stanowiąca eksponat medyczny lub muzealny. Pudło zawierało również liczącą kilkadziesiąt kart korespondencję z 1821 roku. Sygnowana była z jednej strony przez niejakiego Mikołaja Obryckiego, studenta medycyny, z drugiej zaś – jako notaty i minuty – przez profesora wydziału lekarskiego Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego Jana Bernarda Milego, a więc przodka darczyńców. Znajdowało się też w nim nieco wycinków prasowych, kart wizytowych i innych druków z epoki. Na koniec zaś obszerny raport z autopsji ciała przeprowadzonej 3 stycznia 1821 roku przez konsylium pod przewodnictwem dziekana, profesora Franciszka Dybka. Nie wszystkie podpisy udało mu się rozczytać, ważne, że konsylium było pięcioosobowe i na szczeblu profesorskim. Zebrane autorytety stwierdzały, że dostarczony przez policję – bezgłowy! – korpus należał bez wątpienia do „osoby płci męskiej, w wieku między 35. a 45. rokiem życia, prawidłowo zbudowanej, wzrostu wysokiego, gdyż około sześciu stóp i jednego cala – jeśli uwzględnić

również brakującą część ciała. Ciało to należało do osoby ogólnie zdrowej, bez śladów przebytych chorób zakaźnych...”.

Wziął do ręki czaszkę. Chwilę podziwiał jej piękne proporcje i delikatną, jakby porcelanową materię. Piękną głowę musiała ongiś tworzyć, choć Janowi brakło kompetencji, by orzekać o płci oraz wieku osoby, która ją nosiła. Nijak jednak czaszka nie pasowała mu do mężczyzny mierzącego ponad 180 centymetrów... Powrócił do lektury protokołu.

Dekapitacji ciała dokonano – zgodnie stwierdzali konsyliarze – bardzo ostrym narzędziem, „nie wyklucza się gilotyny, choć mógł to być również katowski miecz”. Członkowie konsylium byli zgodni co do tego, że pozbowienie ciała głowy odbyło się w miejscu innym niż to, w którym ciało zostało znalezione. W części dotyczącej wewnętrznych organów denata przeczytać można było – obok stwierdzenia, że stan tych organów jest bardzo dobry – iż „żołądek pozbawiony był jakiegokolwiek treści, podobnie jak jelita, co dowodzi, że ofiara przez czas nie krótszy niż dwie doby była głodzona”, choć to nie brak pożywienia był przyczyną zgonu. Co do tej ostatniej materii, pięcioosobowe konsylium podzieliło się: większość, z przewodniczącym dziekanem Dybkiem, uważała, że ofiara została otruta, zapewne arsenikiem, a dopiero później pozbawiona głowy jakimś bardzo ostrym i ciężkim narzędziem. Dwuosobowa mniejszość obstawała przy tym, że przyczyną zgonu była dekapitacja. Oba stanowiska zostały dokładnie uzasadnione; w obu przypadkach autorzy opinii sugerowali dalsze badania.

Zawezwani na konsylium uczeni nie czuli się, rzecz jasna, kompetentni, jeśli idzie o ustalenie tożsamości ofiary. To zadanie zostawiali policji – w nadziei, że wyniki autopsji przyczynią się do ustalenia, kim był pozbawiony głowy mężczyzna.

Pierwsze i najbardziej oczywiste pytanie, jakie się nasuwało po przejrzeniu zawartości pudła oznaczonego sygnaturą 1051-1052-2015 (swoją drogą, coś za wspaniałe pole do popisu dla kogoś biegłego w numerologii), to czy czaszka otulona fiżeliną i umieszczona w oddzielnym pudełku mogła być głową mężczyzny, którego ciało odkryto gdzieś w Warszawie. Na pierwszy rzut oka wydawało się to niemożliwe, ale Jan zdawał sobie sprawę, jak bardzo mizerne są jego kompetencje w dziedzinie anatomii. Nasuwały się, rzecz jasna, także inne pytania: kto, gdzie i w jakich okolicznościach odkrył bezgłowy korpus. Nie wynikało to z dokumentów autopsji przeprowadzonej w prosektorium wydziału lekarskiego. Wysoka ranga naukowa tego konsylium mogłaby przecież świadczyć o tym, że materia była trudna i już od samego początku wywoływała różnice opinii wśród śledczych. Mogło jednak być i tak, że rangę nadał jej czynnik polityczny, czyli ktoś z kręgu osób sprawujących władzę w Królestwie Polskim. Odpowiedzi na te pytania należało szukać w zachowanej korespondencji i wycinkach z prasy, datowanych głównie na rok 1821. Jan zabrał się więc do lektury, która w istocie rzuciła nieco światła na sprawę. Jak to bywa jednak w podobnych wypadkach, każda odpowiedź na zdane wcześniej pytanie rodziła pytania kolejne – i tak, zdawałoby się, *ad infinitum*.

Kreślone zamasztysem i czytelnym pismem listy młodego Obryckiego do przebywającego w Paryżu Jana Bernarda

Milego, a także minuty listów niezbyt starannie pisanych ręką profesora, pełne przekreśleń, podkreśleń i poprawek – nie tylko do Obryckiego – kazały się domyślać, że sprawa bezgłowego tułowia, który odnaleziono w styczniu 1821 roku, nie została zamknięta jeszcze w październiku tegoż roku. Ba, przybyły kolejne delikta, ale obowiązki Mikołaja Obryckiego, studenta medycyny i zarazem, jak się można było domyślać, samozwańczego detektywa, a także jego sprawy osobiste sprawiły, że porzucił śledztwo na kilka miesięcy. I nigdy go nie zamknął – albo materiały dotyczące finału sprawy nie zachowały się.

o

Kilka dni zajęło Janowi dokładne zapoznanie się z materiałem przekazanym przez spadkobierców profesora Milego. Sama materia kryminalna, związana z bezgłowym korpusem, wydawała się od początku do końca zagmatwana. Przede wszystkim brakowało w niej motywów: kto, kogo i dlaczego pozbawił życia. Za to w wyobraźni badacza rysowały się wyraźnie sylwetki obu korespondentów: pełnego entuzjazmu młodego adepta oraz rozważnego, sceptycznego mistrza, skądinąd wybitnego uczonego, jednego z najbardziej twórczych w gronie profesorów Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Tak więc sytuacja wręcz wymarzona dla autora kryminalnego scenariusza. Z jednej strony była do dyspozycji autentyczna, choć w najwyższym stopniu niejasna sprawa morderstwa: było ciało, i to już na pierwszej stronie. Równocześnie jednak ciało bezgłowe, a więc nie tylko anonimowe, lecz także zdepersonalizowane i uprzedmiotowione. Z drugiej zaś strony miał dwóch

bohaterów z krwi i kości. Także kilka innych intrygujących postaci, o których mowa była w listach, a których rolę należało dopiero ustalić. Obrycki wspominał kilkakrotnie młodego malarza Joachima Schneidera i jego kuzynkę Honoratę. Miał dopytywać różne osoby – choć bez rezultatu – o ich losy. Komentował doniesienia prasy wiedeńskiej oraz informacje podane przez gazetę ukazującą się w Wielkim Księstwie Badenii. Poruszał sprawy, które nie miały ani początku, ani końca. Zapewne dramatyczne i niekoniecznie zakończone happy endem, mimo upływu czasu ożywiające tak emocje, jak i wyobraźnię. Tylko siadać i pisać!

Tego też udało mu się dokonać z końcem maja. Zaopatrzony w wypożyczoną z muzeum kolekcję druków z drugiej i trzeciej dekady dziewiętnastego stulecia, monografię prehistorii i początków uniwersytetu niedawno ukończoną przez profesora Macieja Mycielskiego, jeszcze w wersji PDF, zabrał się do pracy. Czas – koniec semestru letniego i konieczność wystawienia ocen ponad dwustu studentom, a także finalizowane prace dyplomowe – nie sprzyjał jego zamierzeniom, ale mimo to już w drugiej połowie lipca miał ponad osiemdziesiąt stron powieści. Doszedł właśnie do punktu, w którym albo należało zdać się całkowicie na intuicję i wyobraźnię, albo też zasięgnąć konsultacji, w konkretnym wypadku poza granicami Polski. Chodziło o tajemnicze wydarzenia w dwóch stolicach niemieckich: w Wiedniu i Mannheim. Szczególnie ważne z punktu widzenia rozwoju fabuły mogły być te, które miały miejsce w stolicy Badenii. Jan wyszperał w Internecie trzy adresy, pod które mógłby zwrócić się z zapytaniem o doniesienia prasowe z 1820 i następnego roku. Pierwszy adres: Universität

Mannheim, niewielka, ale znakomita uczelnia o profilu biznesowo-ekonomiczno-informatycznym. Drugi to biblioteka miejska: Stadtbibliotheken Mannheim und Ludwigshafen, gdzie bardzo pomocny okazał się katalog online i możliwość złożenia zamówienia za pół euro. Trzecim adresem miało być lokalne muzeum historyczne, choć prezentowano w nim tematykę starożytno-egipską, co nie rokowało dobrze, jeśli idzie o dokumentowanie pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. To miejsce pozostało na liście rezerwowej wraz z antykwariatami, a nawet domami prywatnych kolekcjonerów. Jan napisał dłuższy list do szefa działu czasopism biblioteki uniwersyteckiej, złożył zamówienie na trzy tytuły w bibliotece miejskiej i postanowił spokojnie czekać na odpowiedzi. Solidność niemieckich instytucji naukowych gwarantowała, iż w terminie otrzyma pożądaną informację.

Uderzenie w dobrze pomyślaną konstrukcję nastąpiło w jeden z tych pamiętnych, gorących lipcowych dni 2015 roku. Był piątek, czwarta po południu, apogeum upałów; temperatura w cieniu w okolicach Łazienek Królewskich dochodziła do czterdziestu stopni w skali Celsjusza. Jan przerwał pracę nad dwoma tekstami: pilną, już cokolwiek spóźnioną recenzją oraz powieścią. Jak zwykle o tej porze zajrzał do skrzynki mailowej. Nie licząc spamu, było tam dobrych kilkadziesiąt, jeśli nawet nie setka nowych wiadomości. Szybko odpowiedział na większość listów studenckich. Zaskoczyła, a potem zdenerwowała go informacja od Poczty Polskiej o niedoręczonej przesyłce poleconej („nie zastano adresata w domu”). Przecież cały dzień nigdzie się nie ruszał – a więc znowu nie chciało się listonoszowi wje-

chać windą na szóste piętro! A przecież, jak już się pofatyguje, dostaje napiwek! Teraz biegnij, bracie, na najgorszą w Warszawie pocztę, pocztę na Chełmskiej, i stój godzinę w smrodzie i zaduchu! Otworzywszy wiadomość, odebrał również załącznik, ten nie chciał się wyświetlić, więc otworzył kolejną pozycję na liście maili odebranych.

Po dobrej godzinie powrócił do powieści. I do recenzji, nad którą biedził się od kilku dni. Zaskoczyło go, że foldery na pulpicie jego komputera bardzo podejrzanie zmieniły swój wygląd. Podobnie jak na pendrivie, na którym tworzył kopie. Wszedł do folderu opatrzonego tytułem „Głowa_bis”. Zamiast pliku z powieścią zobaczył komunikat:

„Decrypt_instructions

Twoje ważne pliki (w tym na dyskach sieciowych, USB etc.): zdjęcia, filmy, dokumenty itp. zostały zaszyfrowane za pomocą naszego wirusa Cryptolocker. Jedynym sposobem, aby przywrócić pliki, jest nam zapłacić. W przeciwnym wypadku pliki zostaną utracone.

Kliknij tutaj, aby płacić za pliki odzysku:”

Tu następował niezmiernie długi adres, zaczynający się od „vacdgwaw5d”, poniżej zaś, pod podwójną kreską, cykl pytań i odpowiedzi, spisanych typową – a więc mocno koślawą – polszczyzną komputerową. Jan dowiedział się, po pierwsze, że „wirus wykorzystuje bardzo silnego algorytmu szyfrowania RSA-2048”, po drugie, że aby odzyskać pliki, należy kupić specjalne oprogramowanie deszyfrowania. W tym miejscu pojawiał się kolejny adres internetowy. Trzecia informacja dotyczyła wysokości okupu, czyli ceny za oprogramowanie deszyfrujące: wynosiła tysiąc dwieście złotych – ale tylko do poniedziałku. W poniedziałek po

południu, a więc trzy doby od chwili zablokowania plików, ulec miała podwojeniu. Po kolejnych trzech dobach wszystkie zapisy na komputerze miały zostać zniszczone.

Wyglądało na to, że w istocie, pliki w Wordzie, w PDF-ach i innych formatach zostały zainfekowane. Tylko dwa otwarte wcześniej: tekst recenzji i osiemdziesiąt stron powieści, wyglądały na nietknięte, przynajmniej pozornie. Co robić?

Miał na szczęście papier i nowy pojemnik z tuszem. Włączył drukarkę i rozpoczął druk obu tekstów.

Zadzwoił do Michała, zaprzyjaźnionego informatyka, który ratował go już z różnych opresji. Nie odebrał od razu, lecz szybko oddzwonił.

– Natychmiast wyłącz komputer, odłącz nawet baterię, trzeba przerwać proces infekowania plików! – rozkazał. Był niezadowolony, gdy Jan powiedział mu, ile czasu upłynęło od chwili cyberataku. – Nie jestem pewien, czy będzie można jeszcze cokolwiek odzyskać, nawet nie mogę zagwarantować, że uda się uratować twój komputer!

– Czy mam zawiadomić policję? – zapytał jeszcze.

– Oczywiście, choć nie pomoże ci to w odratowaniu komputera. Broń Boże, nie płać też okupu. Będą mieli numer twojego rachunku, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

– Nawet przez chwilę nie pomyślałem o płaceniu! Pliki to w końcu nie ludzie porwani dla okupu...

Łatwo było powiedzieć. Pliki, a więc owoc kilkuletniej pracy, to były jakby dzieci. Zainfekowaniu uległo ponad dziewiętnaście i pół tysiąca plików, w tym tysiące fotografii. Większość miał przecież na dyskach zapasowych. Tylko pliki z powieścią i recenzją nie zostały zaszyfrowane, ale czy

nie były zarażone? Tak czy inaczej zdążył je wydrukować. Wirusy, w przeciwieństwie do bakterii i grzybów, nie pożerają papieru.

Jan nie sądził, aby atak na jego komputer mógł mieć związek z tworzoną właśnie powieścią lub jakimkolwiek innym tekstem. Analizując to, co się wydarzyło, stwierdził, że pojawienie się fałszywej wiadomości od Poczty Polskiej poprzedziły wiosną jakieś absurdalne informacje w języku niemieckim, rzekomo od Deutsche Post. Nie otwierając plików – było ich kilka, w odstępie dni – kasował je, by szybko o nich zapomnieć. Teraz dał się nabrać na Poczte Polską; poniewczasie stwierdził, że poczta nie dysponuje jego adresem mailowym – choć numerem telefonu, owszem, tak!

Wykonał wszystkie czynności, które nakazał mu Michał. Zatelefonował również, mimo późnej już pory, do dyrektora Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji. Miał okazję poznać go kilka tygodni wcześniej, podczas uroczystości wręczenia dyplomów eksperckich dla funkcjonariuszy policji, która odbyła się w gmachu rektoratu. Przedstawiony dyrektorowi CLKP przez prorektora Tomasza Wojciechowskiego skorzystał z zaproszenia tego pierwszego i zwiedził kuźnię nowoczesnej kryminalistyki przy Alejach Ujazdowskich 7. Szef badawczego instytutu policji odebrał telefon. Przyjął Jana grzecznie i profesjonalnie. Sugerował, rzecz jasna, zgłoszenie sprawy w komendzie dzielnicowej i – podobnie jak informatyk – radził, by zignorować szantażystów. Zapytany jeszcze, jak często policja ma do czynienia z podobnymi sprawami, odpowiedział wymijająco, że dość często.

Równy tydzień po cyberataku Jan powrócił do pracy nad powieścią. Michał nie uratował, co było do przewidzenia, plików, ale ocalił laptopa. Wyczyścił sprzęt do gołej kości, wgrał nowe programy. Dwa ocalone pliki okazały się czyste. To, że były otwarte w momencie ataku, uratowało je przed zarażeniem.

Jan nadał powieści szekspirowski tytuł *Opowieść zimowa*, ale potem doszedł do wniosku, że skoro już poszczególne rozdziały stanowią tytuły jego ulubionych książek, to niech chociaż tytuł całości będzie oryginalny. Została więc *Głowa*.

W cyberprzestrzeni wszystko pozostało po staremu. Kolejna wiadomość od Deutsche Post wywołała tylko wzruszenie ramion; nadawca został też zablokowany na przyszłość. Jan skasował również dwa nieprzeczytane maile od bliżej mu nieznanego doktora M. Broschata z Monachium – lub może z Hildesheim. Owszem, poznał kiedyś historyka niemieckiego Martina Broszata, ale ten wielki znawca problematyki nazizmu zmarł ćwierć wieku wcześniej. Oraz pisał się przez „sz”, a nie „sch”.

Był środek lata, upały nie ustępowały. Od sześciu tygodni jedna kropla deszczu nie spadła na wysuszone Mazowsze. Jakież kontrast ze scenerią powstającej wciąż zimowej opowieści, która tak jak chciały zachowane źródła, rozpoczęła się w mroźny wieczór noworoczny *anno Domini* 1821.

Dwa teatry

ODPRAWIŁ POWÓZ I STANĄŁ PRZED ROZŚWIETLONYM WEJŚCIEM DO TEATRU. Brama okolona wysokim portykiem była zamknięta. Nic dziwnego, przedstawienie zaczęło się o siódmej, a on dotarł na miejsce z godzinnym opóźnieniem. Pociągnął energicznie za uchwyt dzwonka; po chwili prawe skrzydło bramy uchyliło się, ale drogę zagroził mu żandarm w odświętnym uniformie. Powiedział, że tego wieczoru brama prowadzi tylko do łoży królewskiej, dla zwykłej publiczności czynne jest wejście od ulicy Długiej. I zatrzasnął mu drzwi tuż przed nosem.

– Odrobinę grzeczniej, panie oficerze! – krzyknął za cerberem, ale tamten już nie usłyszał.

Aby dotrzeć na Długą, musiał obejść teatr wraz z naróżną kamienicą. Ślady pozostawione w świeżym śniegu wskazywały najkrótszą i zarazem najbezpieczniejszą drogę przez plac pełen wybojów i dziur. Na Długiej dostęp do teatru blokowały powozy i sanie. Liberia, stangreci i woźnice zbili się w grupki, każda ranga oddzielnie. Służba w takich czy innych wielkopańskich barwach separowała się od zajętego końmi pospólstwa. Milczała wyniosłe, a niekiedy zagrzewała się we wnętrzach karet. Bezczelnie, bez pozwolenia i całkiem bezkarnie. Inaczej powożący: opatrzywszy konie derkami, żywo o czymś rozprawiali. Przytupywali na

tężejącym pod wieczór mrozie, palili tytoń w długich fajkach i podawali sobie z rąk do rąk antałki. Spóźniony widz pomyślał, iż przed nimi jeszcze dobre trzy godziny wystawiania na ulicy. Gdy pasażerowie wyjdą z teatru, oni będą już dobrze rozgrzani okowitą. Przeklinając i złorzeczząc, z trudem wdrapywać się zaczęli na swoje kozły. O bałaganie i awanturach, jakie wówczas powstaną, miał już niejaki pojęcie. Widział, co działo się przed zamkiem, kiedy po skończonej sesji Sejmu sto lub więcej powozów niemal w tym samym momencie usiłowało ruszyć z miejsca. Nikt nie chciał nikomu ustąpić; pasażerowie, miast powstrzymywać swych stangretów, przeciwnie, zagrzewali ich do walki o pierwszeństwo.

Teraz co najmniej tyle samo karet i sań czekało między Miodową i Freta. Nadłożywszy sporo drogi, przybysz dotarł pod boczny portyk teatru, identyczny jak ten od frontu, tyle że oświetlony nie olejowymi lampami, lecz potężnymi łuczycami. W ich dymie kładącym się na ziemi ujrzał gromadkę młodych ludzi tłoczących się przed bramą. Ubrani byli dość szczególnie: ciemne czamary z pętlcami, przypominające tradycyjny strój szlachecki, dopełnili białymi kapeluszami przepasanymi czerwonymi lub amarantowymi wstążkami. Niektórzy dzierżyli długie i grube laski, uderzając nimi groźnie o kamienie brukowe. Wszyscy jak na komendę obrócili się w stronę przybysza, najwyraźniej zwrócił uwagę swym eleganckim, w ich odczuciu nadmiernie dandysowskim wyglądem. Niewysoki, za to uzbrojony w szczególnie masywną laskę młodzieniec wystąpił dwa kroki przed szereg.

– „Nie życzę ci mu w drogę leżeć, gdy jesteś *parfume*” – zanucił fragment jakiejś piosenki i spojrzał zaczepnie na

dandysa. Ten jednak niewzruszony szedł dalej, więc znów zagroził mu drogę i wyśpiewał prosto w twarz:

– „Bo kijem wnet oberwałbyś, ty elegancki łbie!”

– Ooo, wypraszam sobie! – rzucił tamten i lekko odsunął od siebie napastnika. Młody człowiek zaklął pod nosem, przełożył laskę z lewej do prawej ręki i uniósł wysoko, z wyraźnym zamiarem zadania ciosu. Zaatakowany okazał się szybszy: silne uderzenie zakończonej srebrną gałką laski spadło na gorącą głowę. Kapelusz złagodził nieco cios, skierował w bok jego energię. Uderzony zachwiał się, ale utrzymał na nogach. Tylko biały kapelusz zsunął mu się z głowy i upadł w śnieg. Młodzieniec wyprostował się i spojrzał z niedowierzaniem – wpierw na kapelusz leżący u jego stóp, potem na owego *parfumé*, od którego oberwał. Zrozumiał, że przegrał starcie.

– O, żesz ty, Szremski! Już nie żyjesz! – wykrzyknął.

Wymierzył kolejny cios, z taką siłą, że gdyby tylko dosięgnął przeciwnika, zwałiby go z nóg. Zaatakowany znów okazał się zwinniejszy. Wykonał lekki półobrót, pochylił ciało, po czym prostując się, odparował cios swoją laską. Broń napastnika zakreśliła łuk w powietrzu i upadła kilka stóp dalej...

Szykowało się kolejne starcie, tym razem na pięści. Ktoś z grupki młodzieży, roślejszy i wyższy niemal o głowę od pozostałych, skoczył pomiędzy przeciwników. Chwycił wojowniczego kolegę za poły i mocno potrząsnął:

– Antoś, poniechaj jaśnie pana! Toć widzisz, że to nie Szremski! A jeśli walczy na pięści tak, jak włada laską, to po tobie!

– Ależ to, powiadam ci, Szremski! Szremski, pamiętam go dobrze! Z ostatniego wykładu... Siedział na ławie pod oknem, razem z hrabiczem Pusłowskim.

– Pan wybaczy, młody człowieku – powiedział spokojnie zwycięski szermierz. – Nie mogłem siedzieć w ławie, jako że do szkół żadnych nie uczęszczam.

– Antoś, słyszysz!? Pomyliłeś się! Przeproś jaśnie pana!

– Nie trzeba – odpowiedział mężczyzna nazwany jaśnie panem. – Nieporozumienie zostało wyjaśnione. Sprawa zamknięta.

– W takim razie przejdźcie dla jaśnie pana! – rozkazał dowodzący grupą.

Młodzieńcy w czamarach i białych kapeluszach rozstąpili się karnie, dając przejście do drzwi. Spóźniony widz zatrzymał się jednak i bacznie spojrzał na tego, który uwolnił go od awanturniczego Antosia. Potężna sylwetka górująca nad otoczeniem, głos, twarz, choć skryta pod szerokim rondem, przecież rozpoznawalna! Nie mogło być wątpliwości: toż to Mikołaj Obrycki! Mikołaj we własnej osobie!

– Jaśnie pan składa wyrazy uszanowania wielmożnemu panu Obryckiemu oraz jego druhom! – mówiąc to, zdjął swój tak bardzo rzucający się w oczy kapelusz: wysoki, czarny, ozdobiony szarą jedwabną wstążką, słowem, skrojony na modłę londyńską. Skłonił się nisko, a kiedy wyprostował się, światło pochodni padło na jego twarz. Wówczas młodzieniec nazwany Mikołajem Obryckim wykrzyknął:

– A niech mnie kule biją! Wielmożny Adam Rytel. Rytel herbu Suche Komnaty.

– Tyle razy tłumaczyłem ci, że nie Komnaty, tylko Kownaty! A Rytzel przez dwa „te” pisze się i wymawia! No, niechże cię, Mikołaju, uściskam!

Obrycki i Rytzel padli sobie w objęcia, otoczeni szczelnym kręgiem kolegów tego pierwszego. „Wiwat!” – krzyknął grecki chór w białych kapeluszach. Obrycki ustawił teraz chórzystów w rzędzie i kolejno przedstawił przyjacielowi: Parandowski, Świerczyński, Miller, Skłodowski, Jakubiak, Wasina... Sami akademicy, uczniowie uniwersytetu królewskiego! On, Obrycki, studiuje medycynę, pozostali zaś kształcą się na wydziale prawa, na wydziale nauk i sztuk pięknych. Antoś Wasina, wróg pana Szremskiego, uścisnął teraz Rytla i wytłumaczył przyczynę nieporozumienia. Przewzwisłem „Szremski” studenci prawa obdarzają wszystkich bogatych, utytułowanych a zadzierających nosa akademików. Za jednego z nich wziął Adama Rytla. A to, że ten nie ustąpił mu drogi, wystarczyło... Uczniowie czekają tylko na okazję, by pokazać hrabiczom, że w gronie akademickim wszyscy są równi.

Adam Rytzel był poruszony spotkaniem, które zaczęło się od pojedynku – cóż z tego, że tylko na laski – a doprowadziło do odnalezienia się dawnych przyjaciół.

– I ja, drogi Mikołaju, zamyslałem zapisać się na uniwersytet. Dlatego właśnie wróciłem do Warszawy... – wyjaśnił. – Mój świętej pamięci ojciec życzył sobie, bym studiował prawo. A mnie ciągnie do literatury, do sztuk pięknych.

– Zapisać się na studia? Wspaniała nowina, drogi Adamie! A już myślałem, żeś po uszy i do końca życia zakopał się w swym majątku...

– Wiesz doskonale, że musiałem to zrobić po śmierci papy! Należało uporządkować folwark, bo znacznie go mój rodziciel zapuścił, ściągnąć należności i spłacić długi. Zresztą, prowincja ma swoje uroki, o tym mogłeś przekonać się, odwiedzając mój dom rodzinny. Poświęciłem moim Serokom i Makom trzy pełne lata; teraz przyszedł czas na naukę!

– Zważywszy porę roku, a także twoją elegancję, czas raczej na karnawałowe zabawy – zauważył Obrycki nie bez lekkiej uszczypliwości. Sam jednak, choć bardzo zapracowany, nie rezygnował z przyjemności, jeśli tylko było go na nie stać. Ale pieniędzy nie miał nigdy za wiele.

– Miast komentować, opowiedz swym kolegom, skąd nasza znajomość!

– A to z przyjemnością! Panowie – zaczął uroczyście Mikołaj – z tym dżentelmenem, Adamem Ryttem starszym ode mnie o dwa lata, uczęszczaliśmy do szkoły pijarów w Warszawie. Nasza znajomość zaczęła się, wstyd powiedzieć, od bójki...

– Tak jak i dzisiejsze spotkanie! – ucieszył się Antoni Wasina.

– Ale wtedy poszło o rzecz poważniejszą – wtrącił Rytel. – Posprzeczailiśmy się o rolę dowodu w nauce... Choć to dłuższa historia...

– Od słowa do słowa... Nazwałem kolegę osłem, a on mnie mułem – wyjaśnił Obrycki. – Dość, że wyzwałem go na pojedynek...

– A ja skwapliwie przyjąłem wyzwanie, zapomniawszy, że słabą mam szansę z takim osiłkiem jak Obrycki. Lecz miast zrobić ze mnie kwaśne jabłko, zadowolili się jednym

eleganckim ciosem w szczękę. Upadłem, on podniósł mnie, uściśnął i oświadczył, że koniec pojedynku. Zniewaga została pomszczona.

– Tak więc zbliżyła nas do siebie miłość do nauki. Do nauki, eksperymentu, nie bezmyślnego zapamiętywania. Potem drogi nasze rozeszły się. Ja zostałem w Warszawie. Otwarto właśnie uniwersytet i, jak wiecie, przyjaciele, rozpocząłem naukę na fakultecie medycznym. Adam zaś wyjechał na studia do Paryża.

– Uczęszczałem na Sorbonę, ale w tajemnicy przed rodziną podjąłem też studia rysunku i malarstwa, zaliczyłem rok architektury. Nagła śmierć mego ojca sprawiła, że wróciłem do majątku w okolicach Szreńska. Gospodarowałem na ojcowiznie ponad dwa lata. Teraz zostawiłem w domu młodszego brata, Kazimierza. Mam stały dochód z gospodarstwa, mogłem więc powrócić do Warszawy. O studiach w Paryżu musiałem jednak zapomnieć...

– A czemuż to? – wykrzyknęli słuchacze.

– Dochód z dwóch małych folwarków zapewnia mi przyzwoite utrzymanie w Warszawie. W Paryżu nie starczyłby nawet na owsiankę.

Ryttel postanowił powrócić do okoliczności szczęśliwego dlań spotkania.

– Ale czemuż to panowie na ulicy, na mrozie, zamiast w teatrze cieszyć się rolą Ledóchowskiej? Popisami Kudlicza? Czyżby bilety wyprzedane? – zapytał.

– Nie wiem, panie – powiedział jeden z obecnych – jak długo gościsz w stolicy, ale musisz wiedzieć, że tragedia pióra Humnickiego, naszego kolegi z uniwersytetu, cieszy się wielkim powodzeniem. Łoże zostały wyprzedane na trzy

tygodnie z góry. My zaś, uczniowie, wchodzimy we dwóch lub nawet i czterech na jeden bilet. Czekamy na antrakt, aby wymienić się biletami.

Adam Rytzel pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Pójdę do kasjera zapytać, czy nie ma czegoś dla spóźnionych widzów...

– Jeśli już, to lepiej liberii do ręki przemówić – doradził Obrycki. – Ona też będzie wiedzieć, które łoże, choć wykupione, pozostały dziś puste.

– W takim razie za mną, panowie! – zachęcił Rytzel. Podążyli za nim ochoczo, czekali przecież na kogoś takiego, chętnego do wspólnej zabawy, hojnego z racji wypełnionej sakiewki.

Po obu stronach wejścia umieszczono tablice z afiszami. Tego szczególnego wieczoru, a był to noworoczny wieczór *anno Domini* 1821, wielkie litery anonsowały „Tragedię w 5 aktach *Żółkiewski pod Cecorą*” Ignacego Humnickiego. W rolach głównych: Ledóchowska, Kudlicz, Szymanowski, Werowski i Zieliński. Orkiestra wykonać miała bogaty repertuar: poloneza, krakowiaka, a także modnego walca wiedeńskiego.

W teatralnej sieni kilku drabów w wytartych liberiach, za to mocno przesiąkniętych alkoholem, zatarasowało im wejście. Jednak widok sakiewki, którą potrząsnął Rytzel, skłonił ich do pertraktacji. Początkowo gotowi byli wpuścić Rytla i trzech akademików, potem, po podwyższeniu stawki, pięciu, ale płacący uparł się, że albo wszyscy – a było ich razem z nim ośmiu – albo nikt. Brzęk kilku srebrnych monet zrobił swoje. Dowiedzieli się, że na drugim piętrze trzecia po lewej łoża rodziny Maryańskich jest jak na razie

pusta. Podobnie sąsiednia, wykupiona na miesiąc przez pana Majnerta.

Adam orientował się doskonale w topografii teatru; w końcu bywał tu w czasach szkolnych. Ruszył ku garderobie, by zostawić kapelusz i podbity sobolem płaszcz. Towarzyszący mu studenci podziwiali strój prawdziwego eleganta – bynajmniej nie spod Szreńska. Na teatralny wieczór Rytteł założył frak granatowy z guzikami pozłaczanymi w kształcie rozety, czarne pantalone i także buty, ciemnokarmazynową kamizelkę, spod której wystawał wysoki, sztywny kołnierzyk, obwiązany jedwabnym krawatem szalowym. Jego narożniki zachodziły wysoko na policzki. Obrycki, który zdążył już pozazdrościć przyjacielowi modnego stroju, przypomniał sobie w porę o niewygodzie, którą ten powodował. Zwłaszcza ostro zakończone krawędzie kołnierzyka, w Niemczech określanego mianem *Vatermörder*.

Odebrawszy kontramarkę, Rytteł ruszył ku schodom, ale Obrycki zatrzymał go ruchem ręki.

– Zajrzyjmy najpierw na parter. Nalegam, Adamie!

Kolejne drzwi, jeszcze krok, dwa do przodu – i spadła na nich ciężka, obezwładniająca fala smrodu. To nieludzki gorąc buchający z pieca po lewej stronie mieszał się z wonią potu i brudu idącą od tłoczących się na ławach widzów. Z łóż na pierwszym i drugim piętrze spływało duszące piżmo perfum, a setka olejowych lamp zasnuwała powietrze tłustym, dławiącym dymem. Gdyby nie panujący ścisk, tłum, który ich zagarnął i odciął im drogę odwrotu, Rytteł uciekłby stamtąd natychmiast. Obrycki wydawał się oswojony z warunkami panującymi na sali.

– Zatkaj nos i myśl o sztuce – krzyknął do ucha przyjacielowi.

Łatwo powiedzieć! Stojący wokół, wystający na ławkach w kilku ostatnich rzędach odgradzali ich skutecznie od sceny. By cokolwiek zobaczyć, musieliby, idąc w ślady pozostałych, wskoczyć na ławy. Te zresztą tak uwalane były błotem, że siedzieć się na nich nie dało...

Wtedy ich uszu dobiegł przeraźliwy gwizd świstawki gdzieś z góry, od galerii. Widownia zareagowała śmiechem, a potem zgodnym okrzykiem:

– Ku-dlicz, Ku-dlicz! Jesz-cze raz!

Okrzyk miał taką moc, iż odnosiło się wrażenie, że wyrwał się z kilkuset gardeł. W istocie, jak dowiedzieli się później, na sali był tuzin setek ludzi, z czego dobrych pięć setek na parterze.

– *Zugabe! Zugabe! Iszczio raz!* – To pojedynczy głos gdzieś z góry. Zawtórowały mu śmiech, brawa i tupania na parterze. Ten harmider czynili stojący na ławkach młodzi ludzie ubrani podobnie jak kompania Rytla w ciemne czamary, pod którymi połyskiwały pstrokate kamizelki. Niemal wszyscy uzbrogieni byli w długie, masywne laski.

– Do dzieła, przyjacielu! – zachęcił Obrycki. – Kolega pozwoli – powiedział uprzejmie do stojącego przed nim młodziutkiego, szesnastoletniego co najwyżej studenta. Zanim zdążył zareagować, usunął go z zajmowanego miejsca: podniósł z ławki i postawił na podłodze. Chłopiec usiłował protestować, ale oceniwszy niekorzystny dlań stosunek sił, zamilkł. Obrycki pociągnął za sobą Rytla i obaj stanęli na ławce. Stąd od biedy można było zobaczyć scenę, a także obraz, który napawać musiał zdumieniem: miejsca

w kanale dla orkiestry zajęli liczni widzowie, muzycy zaś stali lub siedzieli w ławkach pierwszych rzędów!

Scena przedstawiała obóz Żółkiewskiego na tle groźnego, ołowianego nieba. Nisko nad horyzontem wschodził księżyc, przebijając się przez chmury i rzucając poświatę na widoczne na dalszym planie obwałowania obozu polskiego. Masywne, najeżone ostrokołem i zwieńczone drewnianą wieżą z biało-czerwoną flagą na drzewcu. W świetle rampy, którą tworzyły lampy Arganda dające mocne, zarazem ciepłe, niemal czerwone światło, migotały wyszywane złotą i srebrną nicią kostiumy. Lśniły pancerze na piersiach wojowników, błyskała stal i groźnie spoglądały lufy dział. Aktorzy zastygli w bezruchu, tworząc żywy obraz przeniesiony wprost z siedemnastego wieku. Świadomi wrażenia, jakie wywarli, cierpliwie czekali, aż ludzie się uspokoją, a oni będą mogli kontynuować grę.

Magia teatru, nieodparta siła iluzji. Adam Ryttel pomyślał, że papierowy księżyc podświetlony lampą wygląda lepiej niż prawdziwy. Nie tyle nawet piękniej, co bardziej realnie. Także na Mikołaju sceniczny obraz zrobił wrażenie. Publiczność wciąż dawała o sobie znać. Klaskała, gwizdała i wykrzykiwała różne niedorzeczności. Wreszcie jakaś zmiana w centrum obrazu: poruszyła się postać starca podtrzymywanego przez dwóch adiutantów. W czerwonym kontuszu, z buławą – niewątpliwie sam hetman Żółkiewski. Sala zamarła równie nagle, jak nagle wybuchła. Starzec uniósł buławę i obrzucił otoczenie dumnym spojrzeniem. Następnie odwrócił się w stronę bogato ubranej postaci stojącej niemal tyłem do sali. „To Kalinowski!” – rzucił ktoś z widowni, zajmujący miejsce tuż przed Ryttem

i Obryckim. A więc starosta kamieniecki, magnat, który już jutro zdradzi Żółkiewskiego! Stary hetman począł przemawiać do Kalinowskiego, kierując swe słowa równocześnie do całej widowni, do całej Rzeczypospolitej.

Gdzieś był? Gdym Niemców gromił pod Byczyną?
Gdym Szwedów i Tatarów zniósł siły olbrzymie,
I na całym świecie szablą polskie rozniósł imię.
Kiedym pamiętną bitwę wygrał pod Kłuszynem?
Kiedym wielką stolicę potężnego państwa,
Przymusił do wyznania Królowi poddaństwa.
Kiedym jej dumne Cary, na domiar mej sławy,
W triumfie przyprowadził z Moskwy do Warszawy?
Lecz dość...

Urwał w pół wiersza. Na widowni cisza jak makiem zasiał. Na wysokości trzeciego piętra rozszlochał się jakiś głos. Cieniutki, drżący, niewieści. Bonawentura Kudlicz, który wcielił się w Żółkiewskiego, skłonił się widowni, pozostali aktorzy uczynili to samo. Ruszyła w dół kurtyna przedstawiająca muzy tańczące wokół Olimpu oraz napis: „Moribus et Musis”. Chwila ciszy – i posłuszna zarówno zwyczajom, jak i muzom widownia zaczęła bić brawo! Ale z galerii, z paradyżu ponownie rozległy się gwizdy. Potem oklaski ustąpiły miarowym uderzeniom uczniowskich lasek. Kto nie miał laski, ten tupał. Podrzucano kapelusze i czapki: białe, czarne, granatowe. W stronę sceny z galerii, z wyżej położonych łóż posypały się kwiaty: kwiaty świeże i kwiaty sztuczne. Pofrunęła batystowa chusteczka, po którą wyciągnął się las rąk. A potem ktoś krzyknął: „Muzyka!

Muzyka!”, inni odpowiedzieli: „Kapela!”. Zawtórowały im śmiechy i brawa. Orkiestra zaczęła grać jakąś melodyjną symfonię. Rytel, który oglądał kiedyś *Zaczarowany flet*, pomyślał, że to może Mozart. Ale Mozart – jeśli to była jego kompozycja – nie w smak był młodemu. Wołali: „Polonez! Kościuszko! Krakowiak! Dreptany!”.

– Dlaczego Kościuszko? – Rytel wykrzyknął do ucha przyjaciela. – Mamy tu czasy Żółkiewskiego...

– Tak już zrobiło się ostatnio w Warszawie, że jeśli ze sceny, z katedry lub nawet z ambony padnie jakaś myśl patriotyczna, szczególnie zaś przywołanie sprawy wolności, publiczność zaczyna skandować: „Kościuszko! Kościuszko!”.

Część widzów wyszła z łóż i z sali, udając się do bufetów i kawiarni od strony ulicy Świętojerskiej. Do młodzieży, która nie miała pieniędzy na bufet i musiała pilnować swych miejsc na parterze, przemówił oficer policji. Umundurowany, przy szabli, należał do korpusu dowodzonego przez Mateusza Lubowidzkiego, wiceprezydenta miasta. Wskoczył, tak jak i widzowie, na ławkę i zaczął przywoływać do porządku. Młodzi niby to uspokoili się, ale na boku słychać było chichoty i szepty. Podenerwowany policjant zwrócił uwagę na obecność wielkiego księcia. Wskazał na łóż na pierwszym piętrze, na wprost sceny. Popęłnił błąd: ujawnił miejsce, w którym przebywał niepopularny w tym gronie cesarski brat.

Orkiestra zagrała poloneza, młodzi, owszem, słuchali, ale już obmyślali nowy wybryk. Kilku udało się do obsługi teatru i kazało sobie otworzyć łóż blisko wielkoksiążęcej. Kiedy następnego dnia podjęto śledztwo w tej sprawie,

liberia z teatru płątała się w zeznaniach. Jedni strażnicy twierdzili, że studenci grozili im nożem, a nawet pistoletem, inni znowu, że sami otworzyli sobie lożę. Dość, że dostawszy się do miejsca nieopodal księcia Konstantego, podczas drugiego aktu lornetowali stamtąd nie tylko publiczność, ale i królewską lożę, strojąc miny i robiąc nieprzystojne gesty.

o

Wielki książę Konstanty Pawłowicz Romanow nie dostrzegał tych sztubackich wybryków, a jeśli już, to nie dał po sobie niczego poznać. Siedział w królewskim fotelu z podwójnym herbem: rodu Romanowów i Królestwa Polskiego; fotel obrócony był bokiem do widowni, a więc twarzą do drzwi. W tych zaś stał w asyście dwóch uzbrojonych żandarmów sprawca zamieszania, Ignacy Humnicki. Zaraz po zakończeniu aktu wielki książę kazał przyprowadzić poetę. Ten czekał teraz – milczący i blady – na niechcianą audiencję. Miał jednak spuścić skromnie głowę, wpatrywał się to w cesarskiego brata, to w otaczającą go świtę. Czekał, pozornie spokojny, na jeden z legendarnych już ataków wielk księżę furii.

Przecież jego książęco-cesarska wysokość nie raczył się jak dotąd odezwać. Konstanty Pawłowicz sprawiał wrażenie, że w ogóle nie dostrzega Humnickiego. Niema scena przedłużała się nieznośnie. Książę obrócił się w stronę adiutanta, który stał za tronem.

– Pan prezes Potocki. Czy obecny? – zapytał.

– Nieobecny, Wasza Cesarska Wysokość!

– Pan Potocki nieobecny, kiedy tu takie święto? Polacy Moskwę biją, przynajmniej na scenie.

– Pan prezes nieobecny, ale wezwany na jutro!

– Wezwany? – monarcha zdziwił się. – Raczej uprzejmie zaproszony do złożenia wizyty?

– Tak jest, Wasza Cesarska Wysokość! Zaproszony, najuprzejmiej, do złożenia wizyty!

– No! Tak już lepiej! Nie kocha nas co prawda ten hrabia Potocki, nie kocha! Ale to wielki pan i dygnitarz. Prezes Senatu, do niedawna jeszcze minister. Zdymisjonowany przez Jego Cesarską Mość, mojego brata Aleksandra w grudniu roku ubiegłego. Także wielki mistrz polskiej masonerii. Trzeba więc stosownie do rangi... Szacunek i honor muszą być oddane!

Adiutant, który jeszcze nie domyślił się, że to nie on jest właściwym adresatem tych uwag, skłonił głowę z szacunkiem.

– A cenzor Szaniawski? Gdzie jest i co robi? – książę kontynuował inwestygację.

– Stoi za drzwiami i czeka, Wasza Cesarska Wysokość.

– To dobrze, niech czeka. Przyjdzie i z nim się rozmówić. A ten tam w drzwiach, co za jeden? – Wzrok wielkiego księcia przemknął wreszcie po bladym obliczu Humnickiego.

– To literat. Autor tragedii, którą dziś oglądamy.

– Ach tak, sam pan Gumnicki! Jak miło, że zaszczycił nas swoją obecnością – powiedział książę.

Teraz Humnicki skłonił głowę. Ten gest nie spodobał się wielkiemu księciu, bo poderwał się z tronu i ruszył ku drzwiom. Wyglądało na to, że spoliczkuje młodzieńca, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Zdjął rękawiczki z obu rąk i jął potrząsać nimi tuż przed nosem nieszczęśnika.